Malcolm Jameson

Diabelski proszek
(Bullard 5)

(Devil's Powder)

Astounding Science-Fiction, June 1941
Tłumaczenie Witold Bartkiewicz © Public Domain

Całą kolekcję tłumaczonych przeze mnie utworów SF znaleźć można pod adresem:
http://archive.org/search.php?query=subject%3A%22WB_kolekcja%22&sort=-publicdate

Wrzaski i krzyki dochodzące z kuchni, były pierwszymi odgłosami, jakie usłyszał kapitan Bullard, gdy wrócił na pokład starego dobrego statku *Polluks*. Przy pierwszym dzikim krzyku skoczył naprzód, odpychając ze swej drogi kilku chichoczących marynarzy, i dopadł do drzwi spiżarni akurat w chwili, by zobaczyć grupkę ludzi, która wynosiła stamtąd, szamoczącego się i nieskładnie coś wykrzykującego, kucharza okrętowego. Bullard obserwował ich, jak przechodzą, a następnie wkroczył do zwykle czyściutkiej i utrzymywanej w idealnym porządku statkowej kuchni. Na *Polluksie* urozmaicano regulaminową dietę kosmiczną w formie koncentratów z granulatu, poprzez jeden staromodny gotowany posiłek dziennie.

— Co tu się dzieje? — zaczął wypytywać pomocnika kucharza, który z ogłupiałym wyrazem twarzy wyciągał chochlą mydlane płatki do prania z kotła, w którym znajdowała się dziwna mieszanina, początkowo wyglądająca na zupę. Pokład zaścielały porwane opakowania po proszkach żywnościowych i poobijane naczynia. Całe to miejsce wyglądało, jakby właśnie eksplodował w nim czterocalowy pocisk artyleryjski.

— Nic, panie kapitanie. Po prostu szef kuchni dostał świra, to wszystko, panie kapitanie. Tak samo jak ci pozostali — powiedział marynarz, spokojnie kontynuując sprzątanie, jakby była to utrwalona rutyna na statku. — Dzisiaj to już trzeci.

Bullard rzucił mu gniewne spojrzenie. Aerogram, który odwołał go z ciężko zasłużonego urlopu, wskazywał na rozpaczliwy stan rzeczy na obsypanym nagrodami statku, ale jego kapitan nie był przygotowany na coś takiego.

— Co masz na myśli, mówiąc, dostał świra? — warknął Bullard. — Co on zrobił?

— No cóż, panie kapitanie, nawrzucał do tego gulaszu kupę śmieci i powiedział, że to będzie ambrozja do nęcenia świetlików, a później wsadził do kotła jeszcze buty, mówiąc, że są one pełne witamin na nerwy. Następnie wlazł na płytę pieca i zaczął tańczyć, wykrzykując, że jest wielkim bogiem Jowiszem Gromowładnym i mam zrobić podwójne salto w tył oraz pokłonić mu się. Potem zaczął rzucać różnymi rzeczami…

Bullard warknął, odwrócił się i wyszedł, wydając pierwszemu napotkanemu na korytarzu człowiekowi rozkaz, aby znalazł pierwszego oficera i lekarza oraz powiedział im, że chce ich natychmiast widzieć w swojej kajucie.

Obydwaj wezwani nie potrzebowali zbyt wiele czasu na dotarcie na miejsce. Jako pierwszy pojawił się w kajucie kapitana, mocno udręczony komandor Moore, na twarzy którego walczyły zatroskanie i ulga – zatroskanie tym wszystkim co się stało gdy pełnił rolę kapitana, zaś ulga, że został z tej funkcji zluzowany. Chwilę później wszedł lekarz, ten na twarzy nosił wyraz całkowitego oszołomienia.

— To całkiem miłe powitanie — powiedział cicho Bullard, patrząc najpierw na jednego, a potem na drugiego. Obaj przytaknęli ponuro. — No cóż, dalej – powiedzcie mi coś! Na czym stoimy, jak to się zaczęło i całą resztę! Tylko sprawnie.

Lekarz przemówił pierwszy.

— W tej chwili mamy w izbie chorych statku, dziewięciu obłąkańców. Wczoraj wysłaliśmy czterech do Bazy Księżycowej na leczenie specjalistyczne. W sumie były osiemdziesiąt cztery przypadki, ale większość z marynarzy wróciła do służby. Nadal są lekko stuknięci, ale nie są groźni. To coś w rodzaju epidemii. Masowe szaleństwo, jakby to można określić…

— Kompletna bzdura! — parsknął Bullard. — Podajcie mi fakty. Czy to wóda, prochy, czy nie wiecie co?

— To nie jest alkohol — stwierdził z naciskiem lekarz, — a jeżeli to narkotyk, to coś zupełnie nowego rodzaju. Wykonaliśmy wszystkie możliwe testy – nie ma nic w oddechu, nic w krwiobiegu, nic w kale, co by reagowało chemicznie. Objawy psychotyczne są inne w każdym przypadku. Nie potrafię sformułować żadnej reguły. To... uh... cóż, po prostu ogólnie pojęty obłęd. Nie da się tego ująć w żaden inny sposób. Niektórzy są w stanie go pokonać, inni nie. W obydwu przypadkach niczego z tego okresu nie pamiętają, poza tym, że właśnie przeżyli wspaniałe chwile i chcieliby to wszystko powtórzyć. To jeszcze jest bardzo niejasne, ale nie ma wątpliwości, że ma to podłoże ekstatyczne.

— Hm-m-m — zmarszczył brwi Bullard. — Dla mnie to wygląda jak narkotyk i to do tego niezwykle niebezpieczny. Słyszałeś o neurotoksie?

Doktor Herilon pokręcił głową.

— To coś nowego. Pojawił się na Ziemi, kiedy tam byłem. Biuro Zdrowia powinno coś o nim wiedzieć. Masz jak najszybciej pójść, zdobyć informacje o tych prochach, a potem wracać.

Lekarz wypadł z pomieszczenia, czując ogromną ulgę, że otrzymał cień nadziei, którego mógł się chwycić. Bullard odwrócił się do Moore'a i skinął na niego, żeby usiadł.

— Zacznij od samego początku, Moore, i opowiedz mi całą tę smutną historię.

— **W**inię za to odkomenderowanych do nas ludzi — zaczął Moore — którzy zastąpili starych członków załogi…

— Co! — wrzasnął Bullard, zrywając się z krzesła. — Wymienili nam marynarzy?

— Praktycznie. Departament oznajmił, że wykonaliśmy taką dobrą robotę szkoleniową, iż uznali, że mogą sobie na to pozwolić. Więc zabrali nam około połowę marynarzy i podoficerów, a w zamian przysłali nam duży pobór świeżo złowionych farmerów i kazali nam ich oszlifować.

Bullard jęknął. Jedną rzeczą było przekształcenie załogi okrętu w zgrany zespół, a inną – rozdrapywanie go w chwili, gdy miał się nim

zacząć cieszyć. Konieczność robienia tego w kółko, była przerażającą perspektywą. Ale powiedział tylko:

— Tak, asymilacja tak wielu nowych ludzi jest zawsze trudna.

— To było w Księżycowej, tuż po pańskim wyjeździe. Potem przybyliśmy tutaj, na Wenus i poszliśmy na poligon, aby ćwiczyć użycie broni ręcznej. Wtedy właśnie zaczęła się ta fala szaleństw. Jeden mały facet z czwartego działu, wczołgał się do rury i odmówił wyjścia. Powiedział, że podoba mu się tak, kiedy jest zupełnie otoczony metalem. Oświadczył, że jest nitem najwyższej klasy i nie zamierza wypaść, dopóki nie złomują statku. Musieliśmy go wycinać spawarką, polewając chłodzącym natryskiem, tak mocno się tam zaklinował.

Moore przerwał na chwilę i westchnął.

— To był tylko pierwszy. Potem był facet, który myślał, że jest niewidzialny, i taki który wierzył, że jest radioaktywny. Próbował zniszczyć ambulatorium, ponieważ lekarz nie chciał butelkować jego oddechu i płacić mu za niego. Twierdził, że to czysty gaz radonowy wart tysiąc soli za stopę sześcienną. Potem był jeszcze…

— Mniejsza o szczegóły. Co zrobiłeś?

— Podwoiłem oddział policji statkowej na podstawie teorii, że to były prochy. Dwóch z nich oszalało. Może trafili na to coś. Umieściłem mnóstwo wartowników wokół strzelnicy dla broni ręcznej i przeszukałem statek za pomocą próbników promieniowania ultrafioletowego. Nawet śladu. Jeśli to narkotyk, to jest on cholernie sprytnie ukryty. Wiemy, że szafki i magazynki podręczne są czyste, a ludzie są sprawdzani przy pomocy promieni szpiegowskich, za każdym razem gdy schodzą na brzeg lub z niego wracają. Wszystkie przepustki zostały wstrzymane; jedyne miejsce do którego chodzą to strzelnica, i prawdopodobnie nie mogą tam kontaktować się z nikim z zewnątrz.

Moore skończył. Podjął wszelkie środki ostrożności, o jakich można było pomyśleć, ale sprawa się rozwijała. Doktor ze swoim gangiem dzielnie współpracowali, nie spali od tygodni. Kłopoty najwyraźniej leżały na ich polu, ale przyczyna ich zaskoczyła. Nie byli w stanie wydobyć informacji od ludzi, których ostatnie wspomnienia były puste.

— Niedobrze, niedobrze — mruknął Bullard, bębniąc w biurko opuszkami palców.

— Z pewnością jest źle – i robi się coraz gorzej.

Wtedy wszedł doktor z wiadomością w dłoni. Podał ją bez słowa kapitanowi i zaczekał, aż Bullard ją przeczyta. Wiadomość nadeszła z Biura i jej najważniejsza część brzmiała:

„Neurotoks to niebieskawy proszek o słabym zapachu pokruszonego selera. Badania z nim związane są niebezpieczne ponieważ, już sam jego zapach wzbudza w wąchającym szalone i nieodparte pragnienie, aby go mieć jak najwięcej i brać go, po czym prawdopodobnie następuje szaleństwo o mniej lub bardziej trwałym charakterze, którego pierwszym objawem jest żądza zdobycia za wszelką cenę większej ilości narkotyku…”

— Boże, co za kopalnia pieniędzy dla bandy pozbawionych skrupułów przestępców — wybuchnął Bullard, patrząc na lekarza. Doktor ponuro skinął głową.

„Odkryliśmy, po tym, jak kilku z naszych pacjentów doznało zaburzeń, że można się nim posługiwać względnie bezpiecznie, jeśli kanały nosowe są starannie zatkane. Później dowiedzieliśmy się, że około jeden procent badanych ludzi jest odpornych na pokusę. To prawdopodobnie z tej grupy rekrutowani są dostawcy tego diabelskiego narkotyku…”

— A więc nie będziemy mogli ich wykryć, szukając zatyczek do nosa — narzekał lekarz, — a nieodporni wpadają na ten towar, a potem o tym zapominają.

Kapitan Bullard oddał mu raport.

— Życie na *Polluksie* — zauważył, myśląc o swojej karierze na pokładzie statku — to po prostu jeden kryzys za drugim.

Już świtało, zanim Bullard odłożył na bok zestawienia, które studiował i starał się powiązać między sobą. Znalazł pewien istotny fakt. Nie było żadnych psychoz przed ich pojawieniem się na Wenus, ani takich, które nie byłyby poprzedzone co najmniej jednodniowym strzelaniem na strzelnicy, chociaż zwykle wymagało to trzech kolejnych dni, zanim nastąpiło jakieś poważniejsze załamanie. Ta ostatnia kwestia trochę podważała teorię narkotykową. Czy mogła wystąpić jakaś neurotyczna reakcja na zbyt częste strzelanie z broni kulowej? Bullard nigdy o tym nie słyszał, pomimo że sam był doświadczonym strzelcem wyborowym i spędził setki godzin na strzelnicy, w towarzystwie wielu innych ludzi. Wezwał do siebie Moore'a.

— Wybierz trzech ludzi, z ostatniego naboru, którzy strzelali zarówno wczoraj, jak i dzień wcześniej, i dopilnuj żeby dzisiaj znowu poszli na strzelnicę. Niech reszta drużyny składać się będzie z ludzi strzelających po raz pierwszy. I, Moore…

— Tak, panie kapitanie?

— Zamierzam sam również postrzelać. Trochę zardzewiałem.

Moore miał wątpliwości.

— Już tego próbowałem. Nic pan tam nie znajdzie. Strzelnica była przeszukiwana wiele razy…

— Tak, tak — przytaknął spokojnie Bullard. — Proszę, dopilnuj, żeby grupa była gotowa, dobrze?

Poszedł na strzelnicę w sztormiaku i woderach, jak wszyscy inni. Na Wenus pada przez większość dnia; przez resztę czasu kotłuje się gęsta mgła. Ale to doskonałe miejsce, aby zapoznać się z celownikami na podczerwień.

Kapitan Bullard szedł wzdłuż linii strzelających, od niechcenia obserwując, jak rekruci wykonują otrzymane instrukcje. Zauważył, że oficer strzelecki statku był nowym człowiekiem, podobnie jak większość matów strzeleckich. Ciągle chodzili tam i z powrotem, obciążeni bandolierami i wydawali naboje. Trudno było dostrzec szczegóły z odległości większej niż kilka metrów, z powodu uporczywej mgły, która przewalała się między szkwałami deszczu, ale na pierwszy rzut oka wszystko było tak jak powinno. Najwyraźniej, jak zwykle, *Polluks*

wykonywał dobrą robotę, czyniąc każdego człowieka na pokładzie ekspertem w tym, co powinien wiedzieć i umieć robić.

Bullard dwukrotnie zmieniał miejsce, z którego miał strzelać, a następnie znalazł sobie jeszcze inne, ale nie dostrzegł niczego, co mogłoby wzbudzić podejrzenia.

Na trzecim stanowisku oddał pierwszą serię strzałów i otrzymał osiemnaście trafień na możliwe dwadzieścia, nie trafiając za drugim i dziewiątym strzałem. Skrzywił się i ponownie załadował. Dzięki wspaniałym celownikom penetrującym mgłę, w które wyposażone były nowoczesne karabiny, powinien trafić dwadzieścia razy na dwadzieścia, nawet gdyby zasięg ognia wynosił pięć tysięcy metrów. Przeniósł się jeszcze raz i wystrzelał całą serię. Ale chociaż nie spieszył się i nie spuszczał oczu z tego, co się wokół niego działo, nadal nie widział niczego, co miał nadzieję zobaczyć.

Przez resztę dnia stał z tyłu linii ognia, obserwując dystrybucję amunicji. Instruktor strzelecki pochylał się nad leżącym na ziemi rekrutem i wręczał mu magazynki nabojów. Potem miało miejsce krótkie pouczenie i obciążony nabojami instruktor, szedł dalej. Wszystko wyglądało idealnie zgodnie z regulaminem. Ludzie, w większości, strzelali znakomicie, biorąc pod uwagę, że wszyscy byli rekrutami.

Kiedy dzień pracy dobiegł końca, a ludzie ustawili się w szeregach, aby odmaszerować z powrotem na statek, Bullard przeszedł przez linię ognia jard po jardzie, zwracając uwagę na pracę zamiataczy, którzy zbierali zużyte naboje i generalnie sprzątali całe to miejsce. W jednym punkcie zatrzymał się. W błocie leżał na wpół zdeptany lśniący biały przedmiot. Bullard pochylił się i podniósł go.

To był pocisk. Był to mały kawałek adamantium, najtwardszego i najbardziej odpornego ze wszystkich metali, wypełniony po brzegi niesamowicie wybuchowym feroksytem, który eksplodowałby natychmiast przy każdym silniejszym uderzeniu. Ze zdziwieniem schował go do kieszeni i ruszył dalej. Dalej podniósł kolejne dwa. Później jeszcze jeden, potem drugi; następnie trzy w jednym miejscu. Do tego czasu czoło kapitana Bullarda pożłobiły głębokie zmarszczki. Rozdawanie jeszcze zielonym ludziom wadliwej amunicji, było niebezpieczne. Dlaczego te pociski odpadły od swoich łusek? Gdyby stało się to z całym pojemnikiem, dwudziestu ludzi mogłoby w kawałkach wylecieć w powietrze i nie zostałoby nic prócz błotnistego krateru, wskazującego miejsce w którym byli.

Następnie zbadał ogrodzenia i zobaczył wartowników rozstawionych w odstępach co pięćdziesiąt jardów. Strzelnica, dzięki środkom ostrożności Moore'a, naprawdę wyglądała na niedostępną. Po tym wszystkim Bullard, z kieszenią pełną niebezpiecznych pocisków, wrócił na statek, idąc powoli i w zamyśleniu.

Tej nocy dwu z królików doświadczalnych Bullarda załamało się i zostali natychmiast schwytani przez śledzących ich policjantów. Szybko założono im kaftany bezpieczeństwa i przewieziono do ambulatorium, wykrzykujących kompletne bzdury i szaleńcze fantazje. Trzeci wybrał sobie inny sposób. Zemdlał bez żadnych oznak przemocy i zapadł w

szczęśliwy sen, a na jego twarzy malował się błogi uśmiech satysfakcji. Później miało zapaść dwóch z jednodniowych ludzi, ale rano wszyscy wyglądali na normalnych, chociaż w ich oczach widać było dziwny nawiedzony wyraz, jakby ujrzeli samo niebo i nagle zostało im ono odebrane.

— **S**pójrz tutaj, Moore — powiedział kapitan Bullard następnego dnia tuż przed kwaterą. — Czy słyszałeś kiedyś o wraku *Centauriona*?

— Nie, panie kapitanie.

Bullard zachichotał.

— Ani ja. W każdym bądź razie, podobno leży on trochę na południe od Skały Kupida na Oceanie Miłości. To około czterdzieści kilo na wschód stąd. Chcę, żebyś wysłał tam jutro nurków i przekazał mi pełny raport o tym, co znajdziecie. Mamy dziesięć strojów do nurkowania, prawda?

— Tak, panie kapitanie — przyznał ze zdziwieniem Moore.

— Weź instruktora strzeleckiego – jak on ma na nazwisko? Stosk? — i tych nowych matów strzeleckich. Wyślij ich wszystkich pod wodę i dopilnuj, żeby przesiedzieli tam tyle godzin, ile tylko dadzą radę. Zrozumiałeś?

— I tak i nie.

— To wystarczy. Zrób to. To wszystko.

Bullard myślał chwilę, po czym dodał:

— Możesz też zabrać ze sobą doktora Herilona. Przy wyprawie nurkowej, nigdy nie wiadomo co się może wydarzyć.

— Aye, aye, panie kapitanie — potwierdził Moore, ale nie było po nim widać śladu prawdziwego zrozumienia. Nie mogło też być. Jednak miał ogromne zaufanie do Bullarda, pomimo całej jego skłonności do robienia rzeczy w zawikłany sposób. Jeśli kapitan chciał, żeby szukać nieistniejącego *Centauriona*, to on to zrobi. Będzie go szukał z całym poświęceniem.

Następnego dnia Bullard obserwował z pozorną obojętnością, jak grupa ratownicza obijała od statku. Na ten dzień ćwiczenia na strzelnicy zostały zawieszone. Fraser, oficer artyleryjski, zgodnie ze zwyczajem, wyruszył wraz z nurkami.

Ale natychmiast gdy tylko opuścili oni statek, kapitan posłał po Bentona. Benton błyszcząc nowym złotym paskiem – nagrodą w końcu przyznaną mu po wielokrotnie powtarzanych rekomendacjach kapitana Bullarda – zameldował się u kapitana. Benton był teraz młodszym asystentem inżyniera, ale przede wszystkim był człowiekiem, na którym kapitan wiedział, że może polegać, że pójdzie on za nim do samego piekła. Bullard otworzył szafkę, w której znajdowały się klucze do zbrojowni i magazynów amunicyjnych. Było ich tylko trzy komplety. Oficer artyleryjski miał pod opieką jeden z nich, drugi oficer strzelecki. Trzeci zestaw wisiał w sypialni kapitana.

— Weź maski przeciwgazowe i chodź ze mną — polecił Bullard, biorąc klucz do zbrojowni i wsuwając go do kieszeni.

Weszli do zbrojowni i przeszli obok warsztatu, w którym znajdowały się maszyny ładujące i piece testowe prochu. Żaden z nich nie rzucił nawet okiem na rząd dwudziestu symbolicznych kordelasów, starannie ustawionych na półce koło drzwi magazynu broni ręcznej. Kapitan *Polluksa* użył innego klucza i poprowadził do miejsca, w którym ułożono mnóstwo skrzyń z amunicją kulową.

— Mogę potrzebować, żebyś tu trochę porobił za muła — powiedział z uśmiechem Bullard. — Jako świeżo upieczony chorąży[1], jesteś może ponad tego rodzaju rzeczy?

— Znał mnie pan, panie kapitanie — uśmiechnął się Benton, — kiedy byłem tylko mechanikiem rakietowym. Jak pan myśli?

— OK — odparł Bullard i zdjął płaszcz.

Zbadanie wszystkich skrzyń zajęło im parę dobrych godzin, ponieważ były one ułożone w stosy o wysokości ośmiu stóp i miały cztery poziomy. Każda z nich miała na boku napis: „25 mm. amunicja kulowa, wypełniona feroksytem - Arsenał Główny, Baza Księżycowa".

— Poszukajmy jakiejś różnicy lub sekretnego znaku — zasugerował półgłosem Bullard.

Zajęło im dużo czasu, zanim to zauważyli, ponieważ była to różnica bardzo niewielka. Oznaczenia na skrzyniach wydawały się identyczne, pomimo ich uważnego sprawdzania. Ale w końcu Benton dokonał odkrycia.

— Tutaj jest, panie kapitanie. Proszę popatrzeć. Ta skrzynia nie ma kropki po „mm", podczas gdy większość innych ma.

— Zgadza się — powiedział Bullard z aprobatą i odsunął skrzynię na bok.

Później znaleźli pięć podobnych.

— A teraz załóżmy maski przeciwgazowe — polecił Bullard, wciąż spocony i zdyszany po pracy związanej z przewracaniem skrzyń. Spojrzał na zegarek. Dotarcie do tego punktu zajęło mu pół dnia i wdzięczny był sobie, za swoją dalekowzroczność, pozbywając się bandy oficera strzeleckiego, na tak długi czas. W przeciwnym razie nie mógłby tak swobodnie przekopywać się przez zawartość zbrojowni, nie zdradzając swoim nieznanym jeszcze przeciwnikom, jak przebiegało śledztwo.

— Teraz zacznie się brudna robota — skomentował Bullard, mrugając okiem. Otarł czoło. — Idź i sprowadź mi tutaj swojego przyjaciela Carricka, mata farmaceutę. Niech sobie nie zwraca głowy maską przeciwgazową, ale niech weźmie kaftan bezpieczeństwa.

W odpowiednim czasie pojawił się Benton, a za nim Carrick. Kapitan przez chwilę rozmawiał z nim po cichu, po czym twarz Carricka pojaśniała.

— Tak jest, panie kapitanie — powiedział, — to.

I wypisał recepturę na skrawku papieru.

— Dzięki — powiedział sucho kapitan. — A teraz, Carrick, czy mógłbyś pozwolić, żebyśmy cię w tym zawiązali? — wskazując na kaftan.

[1] Stopień chorążego – ensign w US Navy, czy też midshipman w Royal Navy – to najmłodszy stopień oficerski, odpowiadający polskiemu podporucznikowi marynarki (przyp. tłum.).

— Eee… uh… nie, panie kapitanie — powiedział Carrick z wahaniem, patrząc z nadzieją na Bentona, ufając, że otrzyma od niego jakieś wskazówki.

Podziwiał swojego kapitana, ale w tych dniach masowego szaleństwa czy mógł być go pewny? Może stary też zwariował? W przeciwnym razie, dlaczego siedzi brudny i spocony w opustoszałej zbrojowni i składa mu takie skandaliczne propozycje, jak ta, którą właśnie złożył, odnośnie wywołania choroby u połowy załogi, a do tego sugeruje, żeby mat głównego farmaceuty dał się wsadzić w kaftan bezpieczeństwa?

— Wsadź go do niego, Benton — to było wszystko, co powiedział kapitan Bullard. A potem zaczął szukać jakiegoś łomu do otwarcia skrzynek.

Następnym punktem programu było tak staranne podważenie wieczek skrzynek z niezakończonymi kropką „mm", aby żadna kolejna inspekcja nie ujawniła, że zostało to zrobione.

Zanim Carrick został zapakowany w kaftan i przywiązany do wspornika, pierwsza skrzynia była już otwarta, a na pokład wysypała się kaskada mosiężnych nabojów.

— A teraz szczypce do kul, Benton, i upewnij się, że masz dobrze założoną maskę — zawołał Bullard, zdyszany z niecierpliwości.

Chwilę później wyciągnął wybuchowy pocisk z pierwszej łuski jaką wziął i wysypał na dłoń niewielką kupkę niebieskawego proszku.

— Och, słodki papieżu, jakie to boskie — zagruchał Garrick w chwili, gdy została mu ona podsunięta pod nos. A dwu poważnych obserwatorów przyglądało się, jak jego ręce usiłują wyrwać się z ciasnego zapięcia, zaś mięśnie szczęki drgają z nieopanowanego pożądania.

— Chciałbyś trochę? — spytał kapitan, obserwując go jak jastrząb.

— Z rozkoszą! — wrzasnął Carrick, walcząc z mocowaniem kaftana. — Przecież, ty wypchany mundurku w pozłacane paski, zamordowałbym cię, za jednego kolejnego niucha. Oddałbym za niego roczną pensję, oddałbym…

Bullard cofnął rękę, uważnie obserwując swojego jeńca.

— OK — powiedział uspokajająco. — Będziesz miał całe mnóstwo do wąchania. Ale zanim ci go dam, chciałbym tylko jednego. Czy potrafisz dopasować inną substancję do tego zapachu?

— Nie? Nie! — zawył Carrick. — Nie ma nic innego na świecie, co by tak cudownie pachniało — roześmiał się i ponownie zaczął się wyrywać i wykręcać.

Potem miała miejsce długa i cierpliwa rozmowa, pełna wyzwisk i gniewu ze strony Carricka, gładka i kusicielska ze strony Bullarda, podczas gdy Benton przyglądał się jej, nie do końca rozumiejąc, o co w tym wszystkim chodzi. Ostatecznie umowa została zawarta.

— Och, spróbuję. Spróbuję, panie kapitanie — w końcu zaszlochał Carrick i po kolejnych kuszących obietnicach pozbierał się na tyle do kupy, by podyktować listę składników, które mogłyby dać pożądany efekt.

Chwilę później Benton był już w drodze do apteki z listą materiałów i potrzebnego wyposażenia – fiolek, probówek i niewielkich ilości pewnych olejków eterycznych. Niedługo potem on i jego kapitan zajmowali się już przygotowywaniem silnego eliksiru, pod gorączkowym wzrokiem związanego więźnia.

— Och, jak słodko… jak słodko — oświadczył radośnie Carrick po czterech nieudanych próbach. — Sprzedałbym za to swoją duszę.

Dali mu spróbować smaku tej kolejnej wersji, a on zaczął pluć. Później, po pewnym okresie obserwacji, rozwiązali go.

— A teraz posłuchaj — napomniał go ostro kapitan, gdy odrętwiały Carrick wypadł z kaftana. — Nie mów o tym nikomu ani słowa. Zmieszaj ten zapach ze środkiem na recepturze, o którym mówiliśmy wcześniej, zrób z tego proszek i przynieś do mnie. Niebo będzie musiało odrobinę poczekać.

— Aye, aye, panie kapitanie — odparł upokorzony Carrick pokornym tonem. Jak przez mgłę pamiętał brednie, które jeszcze niedawno wygłaszał, i wstydził się ich w najwyższym stopniu. Patrzył obojętnym wzrokiem na szczelnie zamknięte butelki z niebieskim proszkiem, które stały na podłodze, i stosy pustych łusek i pudeł pełnych nabojów z feroksytem.

— W ciągu godziny? — przypomniał mu kapitan Bullard.

— Och, tak jest, panie kapitanie — zapewnił swojego szefa mat głównego aptekarza. — Wezmę się za to natychmiast. — Następnie, ze skruchą w głosie, dodał: — To zabawne, jak coś, co tak wspaniale pachnie, może tak paskudnie smakować.

Bullard, zmarszczył brwi.

— Może lepiej będzie jeszcze trochę wzmocnić smak. Dasz radę to zrobić?

— Spróbuję, panie kapitanie.

— W porządku. Ruszaj.

Kiedy Carrick wyszedł, kapitan i Benton rozładowywali resztę wypełnionych narkotykiem naboi, uważnie robiąc zdjęcia każdego etapu tej operacji, nie zaniedbując także sfotografowania oznaczeń na bokach skrzynek, które również obejmowały numer pakowacza. Bullard usiadł i napisał wiadomość do dyrektora GBŚ.

„Śledzić pakowacza o numerze KG-8167 z Arsenału Głównego w Bazie Księżycowej, w celi identyfikacji jego kontaktów z hurtowym biznesem narkotykowym. Towar wysyłany był w formie amunicji. Telezdjęcia w załączeniu. Proszę zwrócić uwagę na brak kropki po „mm" na oznaczeniach skrzyń. Podejmujemy kroki w celu zatrzymania handlarzy; poinformujcie inne statki, aby zrobiły to samo."

— Weź wrzuć to razem z tymi zdjęciami na televisor. Kiedy dostaniesz potwierdzenie wracaj tu do mnie. Za nami dopiero połowa roboty.

Benton wziął wiadomość i aparaty fotograficzne. Następnie wyszedł ze zbrojowni, tak samo jak i na parę minut, Bullard. Poszedł zamknąć wiele mówiący proszek narkotyczny w swoim osobistym sejfie. Kiedy obaj wrócili, w zbrojowni był już Carrick z puszką zastępczego proszku. Zajęło im resztę dnia bardzo ciężkiej pracy, aby wypełnić nim opróżnione naboje

i obsadzić w nich z powrotem pociski. Następnie zapakowali ponownie skrzynie, ułożyli je dokładnie tak samo, jak je znaleźli, zamknęli zbrojownię. Dopiero wtedy można było to nazwać dobrze spędzonym dniem.

— Nadal nie rozumiem… — zaczął Benton harując jak koń przez cały dzień i będąc świadkiem nieortodoksyjnego zachowania swojego kumpla Carricka.

— Zrozumiesz — burknął Bullard z wisielczym humorem. — Żyłeś w forkasztelu, Benton. Co byś zrobił, gdyby kolega z załogi cię oszukał? Pobiegł byś do kapitana ze skargą?

— Nie ma mowy, panie kapitanie. Wziąłbym…

— Dokładnie. — Bullard ziewnął. — Do zobaczenia rano, Benton.

Grupa nurków nie znalazła śladów zaginionego *Centauriona*, ale tej nocy nie było żadnych nowych przypadków psychozy. Moore i Fraser bardzo chcieli wiedzieć, o co w tym wszystkim chodzi, podobnie jak i doktor, ale nie odważyli się spytać. Później Bullard posłał po Moore'a i polecił mu, żeby jutro znowu wysłał grupę ludzi na brzeg, do ćwiczeń strzeleckich.

— Tym razem chcę aby to nasi starzy ludzie z *Polluksa* stanęli na stanowiskach strzeleckich. Pewnie, wiem, że wszyscy oni są wykwalifikowanymi strzelcami, albo nawet są lepsi, ale kurs przypominający, nie zaszkodzi im. A kiedy wyjdziesz, powiedz doktorowi, żeby przyszedł do mnie.

Kiedy przyszedł lekarz, stanął przed kapitanem, który miał trochę mniej zmartwiony wyraz twarzy niż poprzedniego dnia. Prawdę mówiąc, wydawało się nawet, że w jego oku pojawił się błysk.

— Posłuchaj, doc. Myślę, że jutro czeka cię kiepska noc, ale nie pozwól, żeby to cię to zdołowało. Obawiam się fali – powiedzmy, nazwijmy to, zatruć pokarmowych – ale to minie. Ze względu na twoją własną reputację, lepiej będzie żebyś nic więcej na ten temat nie wiedział. Musisz tylko chodzić z poważną miną, okazywać współczucie, nie zadawać pacjentom zbyt wielu pytań, ale za wszelką cenę masz prowadzić dokładną listę chorych.

Bullard pozwolił zdziwionemu doktorowi odejść, a potem wyrzucił z głowy bieżące sprawy. Kolejne dwadzieścia cztery godziny poświęcił nadrabianiu zaległości w korespondencji statku. Polluksowcy weterani należycie wyruszyli na strzelnicę, wykonali strzelanie i wrócili na pokład. To był zupełnie zwyczajny dzień. A ta noc była kolejną nocą podczas której ani jeden marynarz, nie zmienił się nagle w szalejącego maniaka.

Jednak byłoby nieprawdą, gdybyśmy powiedzieli, że była to noc spokojna.

Musiało być trochę po ósmym dzwonku, kiedy pojawił się pierwszy pacjent. Był to marynarz drugiej klasy, wcześniej degradowany za złe prowadzenie się. Zaczął zawodzić i jęczeć z powodu potwornego bólu brzucha, a kilka minut później wił się na pokładzie, wymiotując, rzygając i

przeklinając, że nadeszła jego ostatnia godzina. Był bardzo, bardzo chory. I ledwie zaciągnięto go do ambulatorium i opróżniono mu żołądek za pomocą pompy do płukania, gdy pojawił się następny.

I jeszcze jeden. I kolejny. Na długo przed świtem ambulatorium było wypełnione ludźmi, a dodatkowe prycze stały tuż przy drzwiach. Prognoza Bullarda sprawdziła się. Doktor i jego pomocnicy mieli dużo pracy.

Ale za dnia było już po wszystkim i grupy ludzi zaczęły opuszczać ambulatorium, wracając do służby. Byli zrozpaczeni, zawstydzeni, ale w ich oczach widać było żądzę krwi.

— Co teraz? — zapytał Moore. Zaczynał mieć dość przebiegłych wybiegów tego nowego kapitana, który przecież wcale nie był starszy od niego.

— Zaczekaj — oznajmił Bullard nonszalancko. Następnie dodał: — Zróbmy rano inspekcję załóg. Chciałbym się przyjrzeć tym nowym ludziom.

Nadszedł czas na inspekcję i Bullard przeszedł koło milczących szeregów ludzi, uważnie im się przyglądając, każdemu po kolei. W drugim dziale dwukrotnie zmierzył wzrokiem ich mata strzeleckiego. Podoficer miał oczy podbite i opuchnięte tak, że prawie nic przez nie nie widział, a chodząc, wyraźnie kulał.

— Co ci się stało? — zapytał go ostro Bullard.

— Ześlizgnąłem się z drabinki, panie kapitanie, i spadłem.

Bullard zwrócił się do swojego szefa policji statkowej.

— To jeden z nich. Kajdanki na ręce i do brygu!

— Tak jest, panie kapitanie. Idziemy, kolego. Koniec z tobą.

Zdumiony mat pozwolił się wyprowadzić bez słowa.

W czwartym dziale natknęli się na innego podoficera, tym razem z paskudnie otartymi kostkami na jednej ręce, a drugą na temblaku. Jego ucho wyglądało, jakby ktoś je przeżuł.

— Dla tego, cela nr 2— rzucił krótko Bullard.

Dalej na statku znaleziono jeszcze kolejną parę matów strzeleckich, wyglądających podobnie dekoracyjnie. Oni również zostali szybko postawieni w stan oskarżenia. Poza wieloma posiniaczonymi i otartymi kostkami dłoni, widocznymi u ponurych ofiar niedawnej epidemii zatrucia pokarmowego, inspekcja nie wykazała nic innego, co by było godne uwagi. Po wszystkim Bullard wziął na bok Moore'a i doktora.

— Dalej możesz już sam dokończyć — powiedział swojemu zastępcy i naszkicował najważniejsze punkty tego, co zrobił.

— A więc tamci ludzie dostali błękit metylenowy — wykrzyknął lekarz z podziwem.

— Tak. Do tego syrop z wymiotnicy, esencję oleju krotonowego oraz trochę innych smakowitości — uśmiechnął się Bullard. — Mam nadzieję doc, że jesteś przygotowany do identyfikacji potencjalnych nabywców, jeśli już o tym mówimy.

— Jestem — zapewnił go doktor.

— Ale ta czwórka, którą wrzucił pan bez słowa do brygu? — chciał wiedzieć Moore.

— Podstawy psychologii marynarzy, mój drogi Moore — odparł mu uprzejmie kapitan. — Jeśli ktoś przyjmie mnóstwo zamówień na towar, to musi go dostarczyć, bo inaczej będzie miał kłopoty. Ludzie kupili prochy, a zobacz co dostali. Naturalnie, ich pierwszym odruchem było dobranie się do skóry sprzedawcom. Oszczędziło nam to kłopotu ciągania całej dziewiątki podoficerów strzeleckich na proces, a potem uniewinnienia pięciu z nich. Teraz wiemy, kto jest kim.

— Och — powiedział Moore. — Nie pomyślałem o tym. — I przypomniał sobie, z pewną satysfakcją, jak ciekawie wyglądał ten ostatni złodziejski mat. — A co z oficerem strzeleckim Stoskiem? Czy to nie on był tu szefem?

— Pan Stosk ma w tej chwili złamane trzy żebra, stracił pięć zębów, ma zwichniętą szczękę i parę innych kontuzji. Krótko mówiąc, leży w łóżku – i jest bardzo rozczarowany do świata. Widzicie panowie, nasi policjanci mieli instrukcje aby ignorować tej nocy wszelkie osobiste bójki. Po tym, jak naszych czterech podoficerów dostało za swoje, czyż to nie naturalne, że przekazali swoje żale dalej? Jeśli kogokolwiek oszukali, to tylko dlatego, że sami zostali oszukani. I stąd stan naszego byłego oficera strzeleckiego Stoska.

— A więc ma pan ich wszystkich – klientów, handlarzy i dystrybutorów? To całkiem niezła układanka. — Moore wybaczył już Bullardowi jego tajemnicze nieoficjalne śledztwo. Teraz dostrzegał, jak idealna była zastawiona przez kapitana pułapka. — Szkoda, że nie udało nam się dorwać tej wszy, która dostarczyła im to świństwo.

— Och — odparł spokojnie kapitan Bullard — co do tego, to wydaje mi się, że to się jednak udało. Widzisz, Stosk nie wiedział, że spędziłem cały dzień w zbrojowni, kiedy on nurkował w poszukiwaniu *Centauriona*. Kiedy jego banda oddała mu za swoje, doszedł do wniosku, że on sam też został oszukany – że księżycowa hołota przysłała mu fałszywy narkotyk. Wyśpiewał mi więc wszystko, co do joty. Cztery godziny temu poszło to do GBŚ. Oto odpowiedź, którą właśnie dostaliśmy.

Obaj oficerowie przeczytali eterogram i cicho zagwizdali.

— I to już wszystko — stwierdził Bullard. — A teraz wróćmy do dowodzenia naszym starym dobrym *Polluksem*. Co jeszcze cię trapi, Moore?

KONIEC